

Kronika tygodniowa.

Aby przypadkowo nie zarzucił mi kto, że w kronikach zajmuję się tylko samymi drobiazgami, które nawet na wzmiankę nie zasługują, zabrałem się obecnie do studyowania poważnych rzeczy, zwłaszcza, że z powodu mrozu siedzę przeważnie w domu, nie mogąc się zdobyć na taki zbytek, jakim jest fatro, zwane w krakowskiej gwarze pospolicie „jesiotrami”. Zrezygnowałbym zresztą z „jesiotrów”, gdyby człowiek mógł sobie pozwolić bodaj na jakie zwykłe śledzie, byle tylko chroniły od zabójczego zimna mą cielesną powłokę.

Przedewszystkiem zająłem się więc kwestią szkolną i przeczytałem w „Czasie” artykuły p. Rzepińskiego p. t. „O skutecznym rad sposobie na niedomagania w szkołach średnich”.

Swojego czasu zaczęto narzekać, że młodzież nasza, opuszczając mury uniwersytetu, nie wynosi stamtąd takiego zasobu wiedzy, jaki byłby potrzebnym, a przynajmniej pożądanym, do objęcia samodzielnego stanowiska. Uczuli się tem obrażeni profesorowie wszechnicy i, zrzucając ze siebie odpowiedzialność, oświadczyli, że oni nic na to nie poradzą, gdyż otrzymują materiał do studyów uniwersyteckich niezupełnie odpowiedni, to jest młodzież, w szkołach średnich nienależycie przygotowaną. Z kolei zabierali głos profesorowie gimnazjalni, utrzymując, że winny temu przepisy, krępujące ich na każdym kroku i szkoła ludowa, ta zaś orzekła, że winę ponoszą rodzice i domowe wychowanie. Zyciodawcy odpowiedzieli światłodawcom, broniąc się dziedzicznością i coraz silniej występującem zdegenerowaniem rodzaju ludzkiego, słowem, nie można było znaleźć winowajcy.

Wobec tego i kronikarz postanowił w tej kwestyi zabrać głos, jako iż sam, jako ojciec rodziny, który wychował swe latorośle, jest też po części pedagogiem, wprawdzie nie fachowym, ale zato praktycznym.

Otóż zbadawszy najdokładniej wszelakie *pro* i *contra*, doszedłem do przekonania, że wina leży w samej rzeczy po stronie szkół średnich, to jest właściwie systemu szkolnego, określonego najrozmaitszymi paragrafami, czego w szkolnictwie być nie powinno, po części zaś i po stronie wychowania domowego.

W dawnych czasach, gdy jeszcze, jako kandydat na młodzieńca, chadzał z tabliczką do fary, a potem zgłębiał tajniki różnorodnych dyscyplin, wchodzących w skład programu szkół średnich, naukę traktowało się na seryo, nie jako zabawkę. W szkole korzystał z wykładu światłych pedagogów, a dość potem musiał się namęczyć, nim odrobił swe *pensum* domowe, ale też, opuszczając mury szkoły średniej, mógł o sobie powiedzieć, że jest rzeczywiście dojrzałym do rozpoczęcia uniwersyteckich studyów, przygotowywujących do przyszłego życia i zajęcia w społeczeństwie odpowiedniego stanowiska.

Miedzy szkołą a domem, choć nie było wówczas tylu konferencji i „wywiadówek”, istniał ścisły kontakt. Czy to ojciec, czy odpowiedzialny nadzorca, informował się o postępach syna, czy pupila, i umiał mu przemówić do serca i rozumu że uczy się tylko dla siebie i sam z tego odniesie korzyść. Bardziej zatwardziałe serca przekonywano nieraz argumentami namacalnymi (*via officyny*), ale i to miało swe dobre strony. Młodzian od pierwszej chwili musiał się przyzwyczajać do poważnej pracy, jeśli mu to zaś nie przypadło do gustu, ponosił takie lub owakie kary, mające go naprowadzić na drogę cnoty i obowiązku.

Nie jestem bynajmniej zwolennikiem wbijania w mózgowicę setek wyjątków i form nieregularnych, lub kucia na pamięć ustępów, których się nie rozumie, twierdząc przecież, na podstawie własnego doświadczenia, że dawny system, pojmowany racjonalnie i tak też względem młodzieży stosowany, miał więcej dobrych stron, niż złych. Młodzież, która w owym czasie uczyła się w szkołach średnich, wynosiła stamtąd zamiłowanie do pracy poważnej i przeświadczenie, że na to są wydane najrozmaitsze przepisy, by się ludzie do nich stosowali, kto się zaś w latach chłopięcych nie nauczył ich szanować i w późniejszym wieku będzie je lekceważyć i starać się tylko lekko przez życie przepłynąć. Dawniejszy więc system, kształcąc umysł, wyrabiał też i charakter.

Z czasem stosunki się zmieniły. Każdy minister oświaty i każda Rada szkolna, stosując się do panującego do dziś systemu biurokratycznego, uważali za swój obowiązek wydanie jak największej liczby

rozporządzeń, normujących sposób nauczania w szkołach średnich, mających rzekomo uwzględnić i rozwinąć indywidualność jednostek, właściwie zaś ią tylko krępujących bo zamieniających pedagoga i wychowawcę na urzędnika, trzymającego się ściśle litery prawa. Nie tak to przecież dawno, a i dziś się to jeszcze czasem powtarza, jak stosowano się do jakiegoś tam rozporządzenia, że w klasie powinno być tyle a tyle (obliczano procentów) postępów dobrych, tyle a tyle zaś złych. Jeśli było inaczej, odnośny pedagog otrzymywał wytknięcie najpierw od swego dyrektora, potem od inspektora, wreszcie od Rady Szkolnej krajowej. Raz zarzucano mu zbytnią łagodność i dowodzono, że to źle wpływa na młodzież, jego pieczy powierzona, innym znów razem surowość, radząc zawsze święte umiarkowanie, które nie powinno nigdy przekraczać pewnych, z góry już określonych procentowo granic.

Następnie doszły wyższe władze do przekonania, że system dawny, mający za główny cel gruntowność, nie jest dobry, że ucząń więcej skorzysta, jeśli w ciągu półrocza przerobi (naturalnie pobieżni) kilka ksiąg klasycznego autora, niżeli jedną, ale dokładnie Pamiętam, iż za moich czasów czytaliśmy w piątej klasie w pierwszym półroczu Lwiusza i załdwie jedną księgę doprowadziliśmy do końca, ale też z ręką na sercu możemy powiedzieć, że lepiej poznaliśmy i ducha autora i sam język, niż do tego może dojść dzisiaj młodzież, której przepisy kazały w tym samym okresie czasu przemłoczyć dwie lub trzy księgi.

Potem postanowiono, że młodzieniec powinien się wszystkiego nauczyć w szkole, by mieć w domu wolny czas na inne zajęcia, a ułatwienie w przygotowaniu się do następnych lekcji doprowadzono do tego stopnia, iż właściwie jedynym zajęciem ucznia jest dziś zebranie książek, o ile je ma, przepacercowanie się do szkoły (o ile jest ochota), odsiedzenie tam kilku godzin i powrót do domu, gdzie się dopiero zaczyna rozmyślanie, co tu począć z resztą czasu. Prawda, że wielu uczniów obraca go na dalsze, nadobowiązkowe kształcenie się na zabawy ruchowe i inne pochwały godne zajęcia, ale, dzięki temu nowemu systemowi jest też i wielu takich, którzy myślą tylko o tem, jakiego głupstwa popełnić, byle tylko się nie nudzić. Młody człowiek jest młodym, więc wiele musi mu się i powinno wybaczyć, ale obowiązkiem starszych jest, nie dawać mu do tego sposobności, by źle robił.

Również dodatnio na obniżenie poziomu ogólnego wykształcenia, jakie uczeń powinien wynieść ze szkół średniej, wpływają ułatwienia, wprowadzone przy egzaminach dojrzałości. Nie pójdę, zdaje mi się, za daleko, jeśli użyję trywialnego trochę może porównania i powiem, że dawna matura podobną jest do dzisiejszej, jak pięść do nosa... Dawniej, jeśli się do niej zasiadało, musiało się być odpowiednio przygotowanym, co wymagało sporo czasu, a przecież każdy go znalazł, dziś wystarczy obrócić na ten cel ostatni tydzień przed samym egzaminem. Wogóle dziwić się należy, że znajdują się jeszcze jednostki, które mogą być wedle obecnych przepisów uznane za niedojrzałe do rozpoczęcia studyów uniwersyteckich.

Pod jednym tylko względem przysięgam dzisiejszemu systemowi wychowania wyższość nad dawnym, mianowicie, iż rozwój ciała doczekał się wreszcie równouprawnienia z rozwojem ducha. Dawniej uważane to było za zbrodnię, jeśli uczeń w środę, sobotę lub niedzielę popołudniu pozwolił sobie pójść na ślizgawkę, lub na spacer za miasto (bez gramatyki łacińskiej lub greckiej pod pachą...) dziś wielką wagę kładzie się na zabawy i gry ruchowe, przebywanie na świeżem powietrzu, kąpiele i tym podobne zajęcia mogące tylko dodatnio wpłynąć na zdrowie rozwijającego się młodego pokolenia. Ale i tu nie trzeba przesadzić i nie powinno, a nawet nie wolno zbytnio forytować rozwoju ciała ze szkodą rozwojowi ducha, boć ono jest tylko futerałem, w którym ten duch siedzi, a cóż warta najpiękniejsza powłoka lub pokrycie, jeśli wewnątrz, czyli właściwa treść, niżej wszelkiej krytyki?...

W zdrowem ciele zdrowy duch — to prawda, ale jedno z drugim da się bardzo ładnie pogodzić. I na naukę i na godziwą zabawę dość jest czasu, może nawet zbyt wiele. Porównując dawniejsze pokolenie, wychowane według starego systemu, który nie był tak łatwym i lekkim, jak obecny, z dzisiejszym, dochodzę przecież do przekonania, że ci młodzi, już posiwiali, stanowczo młodziej i zdrowiej przecież wyglądają, niż ich synowie, a nawet wnukowie, wychowani według najnowszych zasad higienicznej pedagogii.

System więc nauczania i wychowywania młodzieży jest winowajcą, że na uniwersytet dostają się jednostki nienależycie przygotowane i nie mogące wobec tego korzystać z dalszego ciągu nauki, która z ogólnej staje się specjalną i wymaga zamiłowa-

nia do pracy, sumienności i gruntowności. A gdzie się tego wszystkiego ma nauczyć ten, kogo do tego w szkole średniej nie przyzwyczajono? Powód więc do narzekania ze strony profesorów uniwersytetu był słuszny i cieszyć się też wypada z tego, iż ówczesny rektor stanął dziś na czele najwyższej magistratury szkolnej krajowej, postara się więc niezawodnie o usunięcie złego. Biurokracizm wszędzie szkodę przynosi, a już w szkole cierpiącym być nie może, obliczanie procentowe zdolności uczniów, a równocześnie wydatności pracy nauczyciela, jest zupełnie nie na miejscu.

Teraz słowo jeszcze poświęcić muszę dzisiejszemu stosunkowi domu do szkoły.

Według dawniejszych pojęć szkoła i dom powinny sobie iść wzajemnie na rękę, naprawiać, co drugie źle zrobiło. A czy tak jest obecnie?... Przeważnie nie! W szkole nauczono chłopaka, że ma szanować rodziców, ale naodwrot, nie zawsze robi się to w domu, o ile się to odnosi do nauczyciela, owszem, nieraz się nawet zdarza, że oiec lub opiekun, wobec swego syna lub pupila, wyraża się o nim w sposób nieodpowiedni, a nawet wprost pogardliwy, co nie może wpłynąć na podniesienie powagi pedagoga względem pupila. Skoro syn ma być ojcu posłusznym, musi sobie też o swym nauczycielu wyrobić takie zdanie, jakie ma jego rodziciel. A wiadomo, że młode umysły są najwrażliwsze, najłatwiej w nie coś wmówić.

Prawda, że dziś ojciec lub opiekun chodzi co dwa tygodnie „na wywiadówkę”, bojąc się, by mu za złe nie wzięto, iż nie interesuje się postępami syna, że są ojcowie, którzy po powrocie do domu przemawiają młodzianowi do serca i rozumu, jeśli nie tędy, to tamtędy, ale jest też, niestety, i wielu takich, którzy obojętnym okiem patrzą na to, jeżeli chłopiec, choć zdolny, naukę sobie lekceważy.

— Nie męż się zbytnio, mój drogi! — powiada taki czuły tatuś — Staraj się tylko, byś miał pierwszą, bym nie potrzebował za ciebie płacić!... Co ci tam z tego, choć będziesz celującym!... Ot, ja zdałem maturę z odznaczeniem, a nie mogę się doczekać szóstej rangi!...

Nie skłamał bynajmniej, swojego czasu odznaczono go przy maturze. Miał nawet ósmą klasę powtarzać, tak się bowiem dobrze uczył, iż profesorowie chcieli, by był wzorem dla młodszych kolegów!

I dom więc ponosi tu część winy i pod tym względem potrzebna jest reforma, jeśli ma być lepszą, niż dotychczas, a jedyną na to „Skuteczny sposób rad” jest ten, by przepisy, obowiązujące obecnie w szkołach średnich, poddać gruntownej rewizji, co szkodliwe, wyrzucić, co pożyteczne, zostawić, profesora zrobić pedagogiem i nauczycielem, a nie urzędnikiem, którego gość wóś lub zaniedbywanie się w służbie oblicza się według procentów dwójek, wreszcie zacieśnić stosunek szkoły z domem i już od pierwszych chwil wpajać w chłopaka, iż nauczyciel to jego prawdziwy przyjaciel, a nawet dobrodziej, pracujący nad wyprowadzeniem go na ludzi. Ale do tego trzeba i prawdziwych pedagogów, którzyby poświęcali się temu zawodowi nie dla kawałka chleba, wbrew swemu przekonaniu, ale ze szczerzego zamiłowania. Pedagog z musu więcej wyrządzi szkody, niż dziesięciu prawdziwych pedagogów potrafi potem naprawić. A zawód to ciężki!... Już starożytni mawiali: *Quem dii oderunt, paedagogum fecerunt...* Z drugiej jednak strony jakie to młode uczucie, gdy patrzy się na byłych swych uczniów, dziś obywateli, pracujących dla dobra kraju, i może się powiedzieć z dumą:

— O o owoc mojej pracy!...

Rozgadałem się zbytnio, gotów mnie kto posądzić, że byłem zawodowym pedagogiem!... A kto wie, czy teraz wogóle warto zajmować się nauką, gdy świat z każdym dniem coraz bardziej praktyczniej i coraz bardziej lekceważy sobie wyższe wykształcenie. Dowodem tego najlenszym ogło z nie gminy Kojetein (zdaje mi się na Morawach), która poszukuje jako siły conceptowej ukończonego prawnika z t z ma egzaminami państwowymi (ewentualnie i doktoratem), obiecując w zamian za to... proszę się nie przestraszyć!... aż sto koron miesięcznie i ewentualny awans, jeśli się kandydat spodoba panu burmistrzowi i nie zrazi sobie przypadkiem którego z panów radców! Wynagrodzenie prawdziwie królewskie!... Jkże inaczej wygląda wobec owego ukończonego prawnika z trzema państwowymi egzaminami, ewentualnie i doktoratem, ów robotnik, który onegdaj przywiózł do pewnego sklepu beczkę z kolei i spuścił ją do piwnicy, za co (byłem tego świadkiem!) zażądał ośm koron wynagrodzenia i bez targu je otrzymał?...

